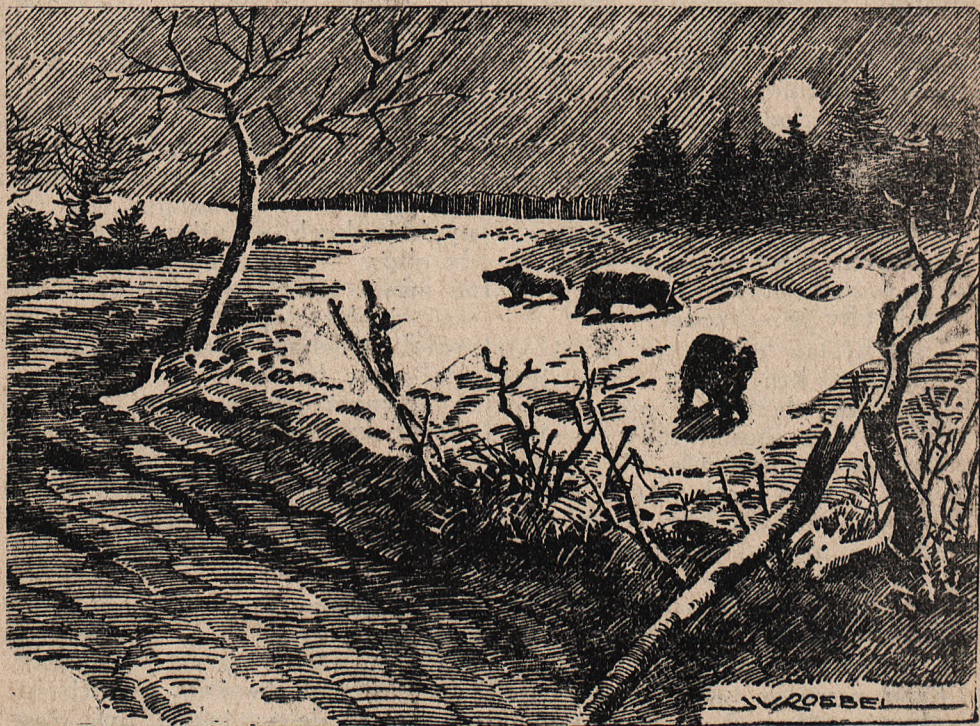


MÓJ ŚWIĄTEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego” dla dzieci.

Pod redakcją **Czarnego Wujaszka.**



L U T Y

Bywał luty kiedyś srogi,
Bały się go wszystkie ptaki,
Teraz znów ni to ni owo,
I jak zima jest mająki.

Ja nie żądam, broń mnie Boże,
By mroź chwycił w swe objęgi.
By śnieżyce zahuczały,
Aby wieher powiał tegi.

Lecz to boli, to nas nęka,
To lutego złe są sprawki,
Że na kule brak nam śniegu
I brakuje nam ślizgawki.

Czarny Wujaszek.

Nagroda za dobroć

Dawnemi czasy w okolicy Gołono ga żył sobie kmiotek bogobojny imieniem Wawrzyn. Miał on dziecięciem małych dzieci, a poza tem nie miał roli, ani ogrodu i mieszkał w starej, wałacej się chałupie. Biedny był bardzo, pracy na roli sprawować nie mógł, gdyż był kulawy, o jednej tylko nodze. Ale dzieci wołały: Tatulu, dajże nam chleba, bardzośmy głodni! Więc Wawrzyn, wstydząc się żebrać, zaczął strugać z drzewa różne kopystiki, warzachwie, chodalki, matewki, a nawet wózki, łopatkę, grabki i inne zabawki dla dzieci. Nasługawszy dużo takich przedmiotów, wyruszył z niemi, aby je sprzedać.

Chodził tak od domu do domu i ludziska, litując się nad jego kalectwem, chętnie od niego kupowali. W ten sposób tedy zarabiał grosze na wyżywienie dla swoich dzieci. Trwało tak długie lata. A chociaż dużo z tego powodu się trudził i męczył, to przecież nigdy nie szemrał, nigdy nikomu nie złorzeczył, a przeciwnie, zawsze był pogodny i zawsze wierzył ufnie w pomoc Boską.

Razu pewnego, obładowany strugankami, wyruszył w stronę Będzina. Pilno mu było sprzedać coś niecoś, ażeby jak najprędzej móc kupić trochę chleba, gdyż w chacie jego głód panował wielki. Chodził więc, jak zwykle, od domu do domu, od gospodarza do gospodarza, ale, jakby się wszyscy uwzięli, nikt od niego nie kupić nie chciał. Co gorsza, lżyli go i psami szczuli. Tak tedy idąc, wśród wyzwisk i uragowisk, doszedł w końcu pod Będzin.

Strudzony i ogromnie smutny, pełen troski o los swych dzieci, spoczął na pobliskim pniu i westchnął gorąco do Pana Boga o zmiłowanie. Potem wyjął z kieszeni ostatnią kromeczkę chleba, aby się cokolwiek posilić. Gdy wtem wśród liści na ziemi zaszeleściło coś opodał. Zaciekawiony, spojrzął przed siebie, patrzy i oczom własnym nie wierzy. Oto o trzy kroki przed nim przycupnęła maleńka myszka polna. Popatrzyła na niego figlarnie, poczem usiadła na tylnych łapkach, — niby piesek, kiedy służy — i zaczęła stroić zabawne minki i łapkami przedniemi kiwać, jakby dopraszała się o kawałek chleba. Stary Wawrzyn miał serce bardzo dobre i zwierzęta również bardzo lubił. Dlatego ułamał kawałeczek kromki i rzucił myszce. Myszka z radosym piśkiem rzuciła się na chleb i w mig go schrupnęła. Wawrzyn rzucił jej drugi i trzeci okrucz, a sam zjadł resztę.

Podzieliwszy się w ten sposób z myszką, poszedł do pobliskiego źródelka, ażeby ugasić pragnienie. Kiedy jednak wrócił, myszki już nie zastał, ale — jakież było jego zdziwienie, gdy tam, gdzie przedtem siedziała myszka, ujrzał teraz złoty pieniądz.

Pocziwy Wawrzyn uradował się wielce, bo przypuszczał, że to zapłata myszki za kilka okruczów chleba. O ileż jednak więcej się uradował, gdy podniósłszy pieniądz złoty, ujrzał pod nim drugi, a pod drugim trzeci. Zaczął wtedy rozgarniać ziemię dokoła i — wyobraźcie sobie — znalazł tam ogromny

skarbu złotych dukatów. Pośpiesznie więc zgarnął wszelkie złoto do kieszeni i kosza i co tchu podążył spowrotem do swej chałupy, kupiwszy do drożdży cztery duże bochenki chleba.

Wielka od tej chwili zapanowała radość wśród biednych dzieci Wawrzyna. Ale wśród tej radości dobry Wawrzyn nie zapomniał o wdzięczności Bogu za wysłuchanie prośby i tak cudowną pomoc.

Mając w pamięci swoją niedawną

biedę, część skarbów rozdał wśród ubogich Gołomoga, za drugą część skarbów wybudował piękny kościółek Panu Bogu na chwalebę, a z trzeciej części kupił sobie gospodarstwo, na którem gospodarzył razem z dziećmi. I odtąd nigdy już biedy nie zaznali: ani Wawrzyn, ani dzieci jego. Bóg stał im błogosławił, bo poczciwi byli i pracowici.

W. C.

NA DNIE MORZA

Profesor z trudem wygramolił się na pokład. Był wychudły, żółty i trzęsła go febra. Z ledwością trzymał się na nogach.

— POCO pan wyszedł z kabiny? — spytał kapitan Coock.

Profesor błędnym wzrokiem powiódł dokoła.

— Chciałem... chciałem spróbować, czy... może uda mi się opuścić na dno...

Kapitan roześmiał się rubasznie.

— Dobrze, jak profesor wygrzebie się z tej febrzy za dwa miesiące! A jutro, pojutrze będzie się morze gotowało! Talk, tornado, to nie żarty! Wypłyniemy na pełne morze, a stamtąd — do domu! Nic z filmu profesorze!

Profesor Harton smutnie pokiwiał głową i w oczach jego ukazały się łzy.

— Nic z filmu... a obiecałem zrobić go dla Towarzystwa Oceanicznego. Nic z filmu...

— Dlaczego, profesorze? — odezwał się młody, silny głos. Był to Murray, młody, bo szesnastoletni

pomoceńnik profesora.

— Dlaczego nie? Nie może pan profesor, to mogę ja. Potrafię tak samo kręcić, jak pan profesor. A opuścić się w tej kuli — nic wielkiego. Każdy potrafi. Nie można odkładać tej imprezy do przyszłego roku.

W oczach profesora błysnęła nadzieja.

— Więc chciałbyś, czy aby potrafiysz?

— Czy potrafię! Ba!

Na drugi dzień rano Murray wchodził do „kuli”. Profesor, siedząc w fotelu, udzielał mu ostatnich rad. Tylko kapitan mruczał coś pod nosem, miał niechętną minę.

— Zacheciało się smarkaczowi, a profesor się zgodził. Para wanjatów!

Wkońcu zamknięto klapy kuli za Murrayem, zgrzynęły dźwigi i kula poczęła znikać w odmętach.

Murray rozmawiał przez telefon.

— Wszystko w porządku. Coraz

ciemniej. Tlen ulatnia się dobrze. Zapalam reflektory.

Zapalił reflektory, nastawił przed szybę z miki przymocowany do podłogi kuli aparat kinematograficzny i czekał.

— Głębiej! — zawołał przez telefon.

Kula zaczęła się znowu opuszczać. Już teraz panowała dokoła nieprzenikniona ciemność, przecięta snopem światła z reflektorów. W tym snopie światła zaczęły się ukazywać różne stwory. Ryby olbrzymie z mackami na głowach, podobne do kwiatów ukwiały. Przepląnęła martwa - ośmiornica. To znów jakieś stworzenie z oczyma wysadzonymi na wierzch głowy i nogami cienkie jak długimi.

Murray kręcił. Co chwila rzucał w telefon: „wszystko w porządku“ i kręcił dalej. Już założył drugi zwój taśmy filmowej.

Kapitan zaczął się wkońcu niecierpliwić.

— Murray! Dostyc tego! Siedzisz już sześć godzin! Nawet profesora to znudziło i poszedł do kabiny.

— Zaraz, kapitanie! Jeszcze trochę! O, właśnie nadpływają dwie meduzy! Jakie olbrzymie!

Meduzy nadpłynęły. Były istotnie olbrzymie — przewyższające ogromem swym nawet „kulę“. Jedną z nich pływała w blasku reflektorów, druga zaś oplótła mackami „kulę“. Murray odczuwał jej poruszenia.

— Murray — zawołał kapitan przez telefon — tornado się zbliża! Musimy na pełne morze!

Murray westchnął.

— Ciągnijcie — rzekł.

Na górze zaskrzypiały łańcuchy. „Kula“ drgnęła... ale nie podniosła się.

Obie meduzy uczepliły się kuli... i potroiły jej ciężar. Naprawdę załoga statku pociła się nad korbą windy. „Kula“ nie dała się podnieść.

Po trzech kwadransach takiego zmagania się, kapitan zawołał:

— Już dłużej nie mogę czekać, bo mi tornado rzuci statek o brzegi! Odczepię łańcuch od kuli, przywiążę go do beczki — a gdy wrócimy, wyłowimy cię. Ten starczy ci na dwie doby.

Odczepiona „kula“ opadła tak gwałtownie na dno, że Murray się przewrócił. Reflektory zgasły.

Murray zapalił kieszonkową latarkę, sprawdził, czy wszystko w porządku, wyregulował kurki butli, zawierających tlen, poczem zgasił latarkę i położył się na podłodze. Zjadł czekoladę, którą miał w kieszeni i... zasnął.

Obudził go brak powietrza. Nie wiedział, jak długo spał. Oddychając z trudnością, zapalił latarkę i podszedł do butli. Pokręcił kurek — jeden, drugi — nic: tlenu już nie było.

Murray przypomniał sobie, co mówił profesor: „w razie gdyby się łańcuch przerwał i znalazłbyś się na dnie, pociągnij tylko tę dźwignię, znajdującą się przy oknie, a wtedy odczepi się balast i kula wypłynie“.

To też teraz uczynił — lecz „kula“ ani drgnęła.

Oddychać było coraz trudniej. Murray poczał się dusić.

— Dlaczego „kula“ nie idzie w górę? — myślał, — Acha, meduzy. Zwolna poczał tracić przytomność.

Nagle ocuciło go silne wstrząśnienie. „Kula“ zatoczyła się, jak pijana i poczęła szybko mknąć w górę.

— Meduzy puściły!
Przez okno widział spokojną powierzchni morza. Ostatnim przytomnym wysiłkiem otworzył kłape

i tyknał świeżego powietrza.
W dali, na horyzoncie, było widzieć zbliżający się statek.

Psy z gór św. Bernarda

W czasach, kiedy to nie było kolei ludzie najdalsze drogi odbywali końmi, co bardzo drogo kosztowało, więc kto miał dużo pieniędzy, musiał iść piechotą, nieraz kilkadziesiąt mil i więcej. Najtrudniej jednak było przebywać wysokie góry, pełne przepaści i rozlicznych niebezpieczeństw, zwykle okryte śniegiem, choć w dolinach jeszcze ciepło. Dla udzielenia pomocy podróżnym wśród gór bardzo wysokich, które nazywamy Alpami, pobożni zakonnicy zbudowali klasztor gdzie każdy mógł być gościnnie przyjęty, znaleźć odpoczynek, żywność dobrą radę i opiekę w chorobie. Ale i do klasztoru nie każdy mógł trafić, gdy śnieg zasypał drogi, wiatr zimny dał w oczy, a chmury zasłaniały wszystko dokoła.

W taki czas nieszczęśliwi podróżni padali na ziemię z utrudzenia, a śnieg zasypywał ich i ginęli bez wieści. Zakonnicy nie im dopomóc nie mogli, bo nie wiedzieli, gdzie ich szukać i sami zbłądziliby w zawieruchę. Wtedy zaczęto chować w klasztorze psy wielkie, silne i bardzo mądre. Skoro tylko śnieg padać zaczął i zakrywał ścieżki i drogi, zakonnicy wypuszczali swoich pomocników na ratunek podróżującym. Każdy pies miał na szyi koszyk z żywnością i winem, a doskonałym węchem rozpoznawał gdzie człowieka zna-

leźć może. Błądzącego przyprowadzał do klasztoru, głodnego i zziębłego posilał winem i rozgrzewał własnym ciałem, zagrzebanego w śniegu odgrzebywał i — przynosił do klasztoru, a jeżeli poradzić sobie nie mógł sprowadzał na to miejsce zakonników. Można sobie wyobrazić szczęście biednych ludzi, gdy usłyszeli szczekanie psa, zwiastującego im ocalenie i spoczynek.

Przez długie lata pociwne zwierzęta pełniły ten obowiązek i tyjące zbłąkanych uratowały od okropnej śmierci.



Troskliwa mamusia

Odpowiedzi Czarnego Wujaszka.

KRYŚIA LEŚNICZANKA. Audycja radiowa z Sosnowca trwa tylko trzy kwadramse w tygodniu i to na dobitkę w czasie dla dzieci mało odpowiednim. Dlatego trudno byłoby odpowiadać na Wasze listy za pośrednictwem radja.

BASIA HOINCZANKA. Przeczytaj odpowiedź dla Krysi Leśniczanki. Dla dzieci są audycje w innym czasie, bezpośrednio z Katowic.

BOLEŚLAW PIOTROWSKI. Wolalbym, żeby utwory nie były wzorowane na znanych już opowiadaniach. Powieść, o której wspominasz, jest bardzo znana i należy do arcydzieł literatury polskiej, nie wypadła więc jej przerabiac.

MACIUS PŁODZYŃSKI. Ta historia z latawcem jest bardzo smutna. Prostu wyrwał Ci się z rąk i uciekł, zupełnie jak ptak. Od takich latawców, Maciusiu, zaczęła się ochota ludzi do unoszenia

się w powietrzu i zawsze było ludziom, nietylko Tobie, smutno, że latawce uciekały, a oni pozostawali na ziemi. Długo, długo człowiek zazdrościł latawcom, aż dzięki pracy i pomysłowości zbudował samolot i fruwa sobie wyżej, niż wszystkie na świecie latawce. Kto wie, Maciusiu, może i Ty będziesz lotnikiem? Za rysunki dziękuję. Bardzo ładne. Schematem jest sobie na pamiętkę.

WL. KAŁÓWNA. Nagrody rozdzielane są drogą losowania. Na kogo padnie los, ten dostaje nagrodę.

SHIRLEY TEMPLE. W tej chwili już nie pamiętam, kto dostał tę nagrodę.

STAS CIEPLIŃSKI. Kiedy się jest w trzeciej klasie, to już nie byle co. Owszem, przypominam sobie, że rok temu pisałeś do „Mojego Świątka“ i od tego już czasu należysz do jego rodziny.



ODGADNIJCIE

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWEK Z NR. 63 „MOJEGO ŚWIATKA“.

Łamigłówka: Ignacy Mościcki.

Uzupełnianka: Karetka, akacja, makuta, kadryl, skarby, dukaty, szafka, kaleka,

parkan, Polska, wulkan, lokale, skarga, bałkan, rękawy, okazja, kapral.

Trasne rozwiązania nadstali: 1) Hanezka i Macius Płodzyńscy, 2) Nitouche, 3) Mały Abisyńczyk, 4) Grażyna Skwarówna z Czeladzi, 5) Bolesław Piotrowski, 6) Basia M. z Dąbrowy, 7) Aniołek Wacław, 8) Mała Abisylnka, 9) Biała Różyczka, 10) Stała Czytelniczka „Mojego Świątka“, 11) Jerzy Skotnicki, 12) Basia Hoinczanka, 13) Ryszard Lwie Serce, Księżniczka Czardasza i Czarna Perła, 14) Księżniczka gór, 15) Kl. VI z Gniazdowa, 16) Zeneczka Czarnobrewka z Dąbrowy, 17) Miecik Koprzywa, 18) Tadeusz Grzeszczak z Będzina, 19) Miruś z Będzina, 20) Jerzy Bończyk z Będzina, 21) Tadeusz Wąs z Będzina, 22) Damsia Zagrodzka z Czeladzi, 23) Waldemar Szczepański, 24) R. Franczyk z

Czeladzi, 25) Zeneczka Filatelistka, 26) Juljan Sikora, 27) Czesia z Sosnowca, 28) Lotnik Abisyński, 29) Jasiu Klich z Będzina, 30) Fortepianistka z Mydlie, Dąbrowa, 31) Danusia Filatelistka z Dąbrowy, 32) Mały pilot z Czeladzi, 33) Wiesia Filatelistka z Dąbrowy, 34) Sokole Oko, 35) Basia Filatelistka, 36) Jutrzenka, 37) Henryk Kościak, 38) Wanda z Sosnowca, 39) Jasia Filatelistka, 40) Hala Puella, 41) Mały harcerz, 42) Harcerska Perła, 43) Tecza, 44) Lopka z Sosnowca, 45) Harcerska Lilijka, 46) Maryś Muzykant, 47) Genia Macodówna, 48) Iruś Marynarz, 49) Dorotka z Zawiercia, 50) Artur Kucykowski, 51) Zbyszek z Sosnowca, 52) Józik Filatelista, 53) Marian Filatelista, 54) Pro

myczek słoneczny, 55) Hala Nowalowska, 56) Wł. Kałówna, 57) Jan Kurpiak, 58) Jerzy Nowalowski, 59) Zastępowy „Jastrzębi”, 60) K. Skarszewski, 61) Schirley Temple, 62) Betty Boob, 63) Ninka Mortasówna, 64) Kidi Birkeusz, 65) Jedrusz Szostak, 66) Jerzy Jodłowski, 67) Jarda Strzałkowska, 68) Alicja Szczepańska, 69) Rusalka, 70) Maryjka Rutkowska z Choszczówki, 71) Staś Ciepłinski, 72) Jerzy Michałowski z Czeladzi, 73) Jadzia Kleinówna z Czeladzi, 74) Nieczytelny podpis, 75) Bolesław Garlewicz z Czeladzi, 76) Krysią Leśniczanka, 77) Halinka Jastrzębiec-Tobolska, Chojnice, 78) Czarna Zośka, 79) Mieczysław Wójcik, 80) B. Hyla, 81) Czarnooka, 82) Czarny Sęp, 83) Olga Śmieszka, 84) Pat, 85) Czarny Mikuś.

Nagrody otrzymali: książki — Mała Abisynka z Sosnowca, Tadeusz Wąs z Będzina, Staś Ciepłinski.

Znaczki pocztowe — Marjan Filatelistka, Basia Filatelistka.

LOGOGRYF

(ulożyła Halinka Jastrzębiec-Tobolska z Chojnic na Pomorzu)

X	-	-	-	-	-	-	-	-	-
-	X	-	-	-	-	-	-	-	-
-	-	X	-	-	-	-	-	-	-
-	-	-	X	-	-	-	-	-	-
-	-	-	-	X	-	-	-	-	-
-	-	-	-	-	X	-	-	-	-
-	X	-	-	-	-	-	-	-	-
X	-	-	-	-	-	-	-	-	-
-	X	-	-	-	-	-	-	-	-
-	-	X	-	-	-	-	-	-	-
-	-	-	X	-	-	-	-	-	-
-	-	-	-	X	-	-	-	-	-
-	-	-	-	-	X	-	-	-	-
-	-	-	X	-	-	-	-	-	-
-	X	-	-	-	-	-	-	-	-
X	-	-	-	-	-	-	-	-	-
-	X	-	-	-	-	-	-	-	-

W miejsce kresek wpisać wyrazy o podanem znaczeniu. Litery oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) imię męskie, 2) lekarz, 3) jednostka wagi, 4) jarzyna, 5) staroświecki taniec hiszpański, 6) instrument muzyczny, 7) mebel pokojowy,

8) imię żeńskie, 9) śpiew, 10) kwiat, 11) półwysep w Azji, 12) ubranie płócienne, 13) orkiestra, 14) osadnik, 15) miasto w Rosji, 16) pełnomocnictwo, 17) sypialnia bez okien, 18) wyprawiona skóra barania, 19) choroba stawów, 20) kapelmistrz, 21) płyn łatwopalny, 22) napój.

SZARADA

PIERWSZE I DRUGIE, to znaczy nie rzadko,

DRUGIE zaś liczbę dość wielką oznacza,

TRZECIE I CZWARTE, zwłaszcza, gdy coś warte,

Niech zawsze czyni każde z was, o dzieci!

CAŁOŚĆ to miasto, Polak je otacza
Czcą i kochaniem i nieraz tam śpieszy
Do tej, co koi leczy i pocieszy.



Tak oto wszystkim
Mogło być dziś miło,
Lecz cóż, w tym roku
Wszak śniegu nie było.

FILATELISTKA — KAZIA KOSIŃSKA

29)

NA CZERWONĄ PLANETĘ

OPOWIADANIE Z NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI

Marsjanie z żalem żegnali gro-
madkę swych ziemskich przyja-
ciół. Wyświadczyli im oni niez-
mierną usługę: uwolnienie od
strasznego wroga i ułatwienie po-
jednania z Russami, spłacając tem
stokrotnie dług wdzięczności za u-
zdrowienie Andrzeja, a teraz po-
wracali na swą starą Ziemię...

Nadszedł wreszcie dzień odjazdu
Wokół rusztowania zgromadzili
się wszyscy Marsjanie i Russowie,
żegnając ziemskich przybyszów.
Kareo i Mayrei w kabinie pasażer-
skiej układali i porządkowali za-
ofiarowane Ziemianom przyrzady
fizyczne i astronomiczne, paczki z
żywnością, skoncentrowane wszel-
kie rodzaje minerałów, owadów,
wypchanych zwierząt i roślin, na-
leżących do doktora. Ala wydzie-
łała ostatnią porcję swym wielkim
ulubieńcom, które ryczały żałośnie,
jakby przeczuwając rozstanie...

Nadeszła wreszcie godz. 12-sta.
Rakietowcy, stając obok rusztowa-
nia, żegnali gościnnych Marsjan.

— Może znów kiedy przybędzie
tu ziemski pocisk, to mu nie zrobi-
cie krzywdy — prawda? pytała Ala

— A może którego z was zabrać
na Ziemię? żartował Andrzej.
Marsjanie spojrzeli po sobie i wkoń-
cu Kareo wstrząsnął głową.

— Nie! my też kochamy Mars —
tak, jak wy Ziemię! rzekł cicho.

Zbliżyła się chwila odjazdu. Ostat-
nie pożegnania — i odjeżdżający
weszli na drabinkę, znikając przed
wzrokiem wpatrzonych w rakietę
Marsjan.

* * *

Ala, znalazłszy się w kabinie pa-

sażerskiej, rzuciła się do okna, o-
statniem spojrzeniem obrzucając
„płaskowyzę Mirskiego“, „kraj
Marsz. Piłsudskiego“ widniejące na
horyzoncie „góry Kopernika“, nie-
daleką subtelną siatkę kanałów i
ogrodów marsyjskich, olbrzymie
puszcze i tłum zgromadzonych kra-
jowców.

— Pokochałam tę drugą planetę
— szepnęła cicho.

Zaterkotał aparat fotograficzny
Andrzeja, robiącego ostatnie zdjęcie⁴

Mirski wydał rozkaz:

— Proszę usiąść i nie ruszać się!

Ala, wcisnęła się w swój fotel, nie
odrywając oczu od okna.

— Żegnajcie! — szepnęła... Żegnaj-
cie i wy kochami Marsjanie, i wy
Russowie i lasy, góry, kanały i
stepy! Żegnaj, piękna i tajemnicza
czerwona planeto!

Huk wybuchu rakiet zmieszał
się z głośnym okrzykiem Marsjan, a
„Orzeł Biały“, lekko oderwawszy
się od rusztowania, pomknął hen,
wdał, unosząc ze sobą garstkę
śmiałków ziemskich, którzy ule-
ciawszy z Ziemi, wracali na nią,
aby wzbogacić wiedzę i umysły
ludzkie.

* * *

„Orzeł Biały“ pędził już z szyb-
kością 10 km. na sekundę. Czerwo-
nawa tarczka Marsa stawała się
coraz bardziej niewyraźną, grani-
ce lądów i oceanów, zarysy kana-
łów, niemal w oczach zlewały się
w jedną plamę. Już i przez lornet-
kę słabo widać Mars, już i lornet-
ka zawodzi. A zato z innego okna
roztacza się widok na wspaniałą
panoramę kosmiczną.